

Ewa Nowak

NASZE

Przemkowi

*

Za oknem gwizdał kos. Długo i namolnie ciągnął nuty — to w górę, to w dół. Zachłystywał się swoim gwizdem, odpoczywał chwilę krótszą niż czas potrzebny na nabranie powietrza i zaczynał dalej. Sam chodził spać z kurami i teraz przed szóstą był wyspany, wypoczęty i świeżutki jak kos o świcie. Gwizdał ile miał sił pod piórami. To dla swojej samiczki — dla niej tak się wysilał. Wydawało się, że chce obudzić cały świat, ale udało mu się obudzić tylko Przemka.

Przemek otworzył oczy i przez chwilę słuchał kosa. Znał go dobrze. Nieraz śmieszyla go furia, z jaką zbiera komary i wsadza bez wahania i narzekań w otwarte dzioby. Albo jak lata w labiryncie drgających liści i nieruchomych, bezlitosnych gałązek, obarczony trawą i patykami.

Znali się z kosem dobrze. Podglądali nawzajem swoje życia. Przemek wiedział od lat: śpiewa, znaczy się, że gniazdo gotowe. Teraz pora przygotować samiczkę. Przekonać ją, że to ma sens, że trzeba. I kosowi zawsze się udawało. Nawet dwa, trzy razy w roku. Kiedyś Przemek mu zazdrościł. Teraz już nie, odkąd była Teresa.

Przemek popatrzył w okno. Nie widział kosa, ale słyszał co wyprawia. Odrzucił kołdrę. Wsadził stopy w zdrowotne klapki na korku i z całej siły się przeciągnął. Rozpiął górę pizamy i podrapał się po torsie. Poszedł wziąć prysznic. Kos na pewno też już był po piaskowej kąpieli.

Na półeczce zauważył kilka maleńkich flakoników w podejrzanych kolorach. Fiolet... nie, to chyba czarny, jakby czarny z nutką zielonkawego. Co to za dziwadła? A, lakiery. To na pewno siostry.

Obejrzał swoją twarz. Z tego wszystkiego najbardziej podobały mu się brwi. Brwi były w porządku. Reszta, powiedzmy, mogłaby być lepsza, ale dziś się tym nie przejmował. Dziś wystarczyło, że był trochę ładniejszy od diabła.

Dziś był dzień golenia. Lubił to. W ogóle to miał być dobry dzień. Przemek to czuł. Był wyspany, zadowolony i słyszał kosa, a to zawsze był dobry znak. Życie ułożyło się w miłą, starannie dobraną układankę. Szkoła, dom, Teresa — wszystko szło jak trzeba.

Przeplukał twarz zimną wodą i rozejrzał się po łazience. Niemal wszędzie wisiły jakieś wywrócone na lewą stronę rzeczy Małej.

„Nie, ja tego nie dam razy posprzątać”.

Poszedł budzić siostrę, ale ta warknęła tylko i naciągnęła sobie poduszkę na głowę.

— Spóźnisz się.

— I co z tego?

— Masz rację, nic.

Odezwanie się do Małej ostatnio zawsze kończyło się awanturą, więc czym prędzej się wycofał. Niech się mama z nią użera.

„Mała...”. — Znów pomyślał o siostrze, bo zobaczył na stoliku w kuchni prezent od jakiegoś nowego kolegi z kasy. — „Matko, przecież to moja siostra”. — Zadumał się nad niewielką metalową miseczką.

Taka sama jak Gośka. No... identyczna.

Była to połowa kuli, pusta w środku. Tak zaprojektowana i zrobiona tak, że nigdy nie dało się jej postawić, by służyła zgodnie z przeznaczeniem. Wczoraj próbowali nalać do niej wody — miska kładła się na boku, a woda błyskawicznie z niej wypływała i rozlewała się na stole. Próbowali nasypać suszonej fasoli — to samo. Miska na bok, a fasola — myk na stół.

Co innego, gdy podłożyło się podstawkę. Wtedy miska od razu nabierała wyrazu. Stała smukła, gotowa, równa i odpowiedzialna. Prawdziwa miska. A bez podstawki — oszukana.

„Symbol — pomyśl Przemek. — Dostała od jakiegoś Nowego, na wspomnienie którego od razu robi się czerwona. Czy on wiedział, że daje jej symbol? Na pewno nie. Nigdy się tego nie wie. Miał być prezent, wyszedł symbol”.

Mała zaczynała szeleścić pościelą u siebie, więc Przemek szybko złapał dwa jabłka i wymknął się z domu. Po chwili jednak wrócił i wziął jeszcze aparat. Miał rano, przy tym świeżutkim świetle, poszukać czegoś ciekawego.

Zaczął myśleć o Teresie. Jego Teresie.

*

Obszedł Nasze — jezioro, które go wychowało. Nauczyło pływać, bawić się, grać w podchody, a potem nauczyło go fotografować. Za ten rozwalony pomost, dwa uśpione na zimę drzewa i łódź dostał pierwszą w życiu nagrodę. Teraz chwilę się zastanawiał, gdzie będzie najlepsze światło.

Zrobił kilka zdjęć łódki. Szczególnie liczył na to, że uda mu się to od dołu. Płasko położył się na ziemi i fotografował światło przeciskające się przez gęsto zbity miąższ liści pokrzywy. W miejscach, gdzie deseczki odstawały od siebie, pokrzywy śmiało wystawiały twarze do słońca. To właśnie fotografował.

*

— Hej!

— Hej — odparła Teresa.

Znów była. Jak zawsze. Wtulił się w nią.

Pocałowali się. Potem Przemek w milczeniu przerzucił między palcami jej włosy, jakby je liczył, jakby sprawdzał, czy wszystkie są.

— Coś się stało? Jesteś taki... taki jakiś... — Teresa przytrzymała się jego ręki, zdjęła mokasyn i wysypała z niego piasek.

— Pewnie, że się stało. Przyszłaś, jesteśmy. To mało?

— Nie wiem co powiedzieć, a boję się banałów.

— Jeszcze nigdy nie słyszałem w twoich ustach banału. Serio.

— I niech tak zostanie.

— Cieszę się, że jesteśmy. Cieszę się jak... — chwilę się zawahał — jak ptak.

Pomyślał oczywiście o kosie i mocno przytulił się do niej. Pachniała. A Przemek lubił zapachy. I bardzo je cenił.

Poszli.

Zakupy, babcia, jakieś żurawiny sąsiadce oddać lub pożyczyć, poczta, bo listonosz zostawił awizo. Cały dzień chodzili po swoim mieście. Lubili je, znali. Całkiem jak siebie.

Wieczorem, nasyceni sobą, jeszcze raz mocno się przytulili. Jak wszyscy zakochani zmniejszyli świat tylko do swoich ust i rąk gładzących plecy.

— Zawsze będę z tobą. Zawsze. A ty?

— Przem, zrobię wszystko, żeby tak było. Wszystko, co będę mogła.

Było ciemno, ptaki już nie śpiewały.

*

— ...i proszę żebyś wróciła.

Słysząc było mamę, a zaraz potem płaczliwy, już wyprowadzony z równowagi, głos Małej.

— Wszyscy wracają o jedenastej, a ja jak jakaś smarkuła o dziewiątej. Mamo, ty nic nie rozumiesz!

— Wszystko rozumiem. Dziewiąta albo nie idziesz wcale.

— Cześć.

Ten od miski zrównał się z Przemkiem tuż przed drzwiami. Weszli razem.

Był miły. Najpierw przywitał się mamą, potem dopiero z Małą i to dyskretnie, bez żadnego manifestowania „jak wiele nas łączy...”.

— O której mamy być z powrotem? Bo ja, prawdę mówiąc, muszę wrócić o wpół do dziewiątej. Mama się denerwuje.

Mama aż zakryła usta dłonią. Mała stała obrażona i nadęta.

— No, ale i tak mamy masę czasu, prawda, Gosiu?

Zajrzał jej w oczy i rzucił czar. Gośka, już normalna, odczarowana, podeszła do mamy i jak normalny człowiek, a nie coś, co przypomina niesprawną miskę, pożegnała się.

Wyszli. Wrócą na ósmą.

— Ten chłopak to skarb — zaczęła mama. — A jakby tak go przekupić, żeby Gosia wzięła się za chemię?

— Dobrze! — odparł Przemek i poszedł umyć przed kolacją ręce.

Młoda kapusta z koperkiem, do tego grubo pokrojony razowiec na miodzie, który rozrywał na małe kawałeczki i taki postrzępiony zjadał z masłem. Zjadł jeszcze jabłko, chociaż słyszał, że owoce trzeba jeść przed posiłkiem. Co z tego, kiedy przed posiłkiem mu nie smakowały. Otworzył szafkę pod zlewem. Na wierzchu leżały trzy flakoniki. Gośka się ich pozbyła, czyli nie będzie już czarnych paznokci. Koniec pewnej epoki.

A Teresa? Czy maluje paznokcie? Nigdy tego nie zauważał. Jutro spyta.

Włączył komputer. Dwa najlepsze zdjęcia wrzucił na fotobloga.

*

Następnego dnia przyszedł do domu zmęczony. Ta wiosna go wykańczała. Zjadł obiad i trzy godziny spał. Nawet kos nie zdołał go obudzić.

W nocy z kolei nie mógł zasnąć. Wcześniej poszli z Teresą na wieczorny spacer, ale i to nie pomogło.

Wyłuskał się z pościeli i wszedł na Gadu-gadu.

„Czy jest ktoś, kto nie śpi?” — ustawił taki opis.

— Ja — zaraz przyszła odpowiedź.

— Nie śpisz? Dlaczego?

— Chandra, nostalgia, ból istnienia. To chyba tak się nazywa. A ty?

— Proza życia. Wyspałem się w dzień.

A więc jest dziewczyną, bo facet nie pisałby o chandrze i bólu istnienia. Facet zawsze udaje, że ból istnienia już pokonał, a chandrę chowa głęboko w kieszeni, żeby nikt nie pomyślał, że jest niemęski.

— Sama? Czy obok pochrapuje mężuś i dzieciaki?

— Owszem, zgadłeś. Mężuś pochrapuje u sąsiadki z dołu, a dzieciaki (dwie dziewczynki) u sąsiadki z góry. Że też tak trudno w życiu o komplet.

— Fakt, komplet to skarb. Masz komplet?

— Miewam, ale nie aktualnie. Nie, nie narzekam. A w ogóle co to jest komplet?

— Komplet to porozumienie, to sól na pomidorze... — zaczął Przemek.

Skończyli koło piątej. Kos w każdym razie odezwał się po raz pierwszy, gdy Przemek gasił lampkę koło łóżka.

*

Gosia malowała paznokcie. Bezbarwnym.

— A co z czarnym?

— Jego czas minął. Nie rozkładaj się tu, bo zaraz przyjdzie Wit i będziemy kuć chemię.

Mama niezauważalnie zerknęła na Przemka.

— Cały rok nic nie robisz, a teraz się ocknęłaś?

— Spadaj. Mogę się nie uczyć, ale jak chcesz wiedzieć, to założyłam się z Witem, że będę miała trzy; nie żadne dwa, tylko trzy. I będę. Nie wtrącaj się. Czy ja cię pytam co ty wyprawiasz z Teresą? Nie pytam cię, więc i ty... Zresztą z kim ja w ogóle gadam? Będę miała, rozumiesz?!

— Czy mogę wspomnieć coś o kaktusie, co to na dłoni... — zaczął Przemek, ale odezwał się dzwonek.

Gośka natychmiast poczerwieniała i potykając się o dywan pognała otwierać.

— Pierwsza miłość jest piękna, najgorętsza, najszczęśliwsza... — cichutko zanuciła mama.

Przemek podszedł do niej i równie cicho ją poprawił, też nucąc.

— Każda miłość jest pierwsza.

— A, rzeczywiście... Patrz jak mi się pomyliło. — Pokręciła głową.

*

— Dlaczego nie malujesz paznokci?

— Nie umiem, nie lubię, nie chcę, a każda odpowiedź jest prawdziwa i równie dobra. Która ci się najbardziej podoba? Wybieraj.

— Już wybrałam.

Objął ją w pasie, przymrużył powieki i zajrzał w oczy Teresy najgłębiej jak umiał. Znów pachniała.

Poszli do kina, a wcześniej usiłowali kupić prezent dla Marty. Przecież czternastego jej urodziny.

*

— Czego się boisz?

— Nie wiem. Wszystkiego. Niczego. Nie wiem.

— Boisz się burzy?

— Bardzo. Umieram, gdy zaczyna mruczeć koło mnie.

— To już coś wiem.

— Co?

— Wiem już wiele rzeczy o tobie: nie masz kompletu, umiesz obsługiwać komputer, boisz się burzy i jesteś środkowa.

— Środkowa? Czy coś przeoczyłam?

— No, sąsiadka na górze i sąsiadka na dole. A lubisz być środkowa?

— Nie znoszę. Lubię prowadzić peleton.

— A co robisz, gdy widzisz, że nie ma na to szans?

— Udaję że zwichnęłam nogę, wracam do domu i szukam zawodów, w których mogę prowadzić peleton. Każdy tak robi, tylko inni się nie przyznają. Tchórze. A ty?

— Lubię sobie wyobrazać...

— Co?

— Że prowadzę peleton. To nawet lepsze niż prowadzić naprawę, bo przynajmniej możesz to robić tak długo jak zechcesz, a nie aż cię przegonią.

— Czy to uczciwe?

— A co to jest uczciwość?

— Właśnie... Chyba czas, żeby ją zdefiniować...

Zdefiniowali. Ale czy da się poważnie porozmawiać z jednym zdefiniowanym pojęciem? Musieli jeszcze zmierzyć się z innymi pojęciami, które koniecznie trzeba było zdefiniować.

— Jak masz na imię?

— Kinga.

— A ja Przemek...

— Imię to ważna rzecz. Sądzisz, że wpływa na życie?

— Oczywiście! Przecież gdy ktoś nazywa się Bożydar, to chyba wiadomo, że był chcianym dzieckiem.

— Co powiesz o imieniu Daćboga?

— Będę milczeć, żeby się nie skompromitować.

— A ty byłeś chcianym dzieckiem?

Kinga o drugiej się pożegnała. Jutro ciężki dzień. Przemek obiecał, że cały czas będzie z nią duchowo. Ranek był pochmurny i kos spał twardo, więc Przemek wstał bez jego pogwizdywania.

*

— Mamo, chcę jechać na obóz i potrzebuję sukienki — nagle zagadnęła Gosia.

— Sukienki na obóz? — Mama oderwała się od książki.

— Nie... przestań być złośliwa.

— Kochanie, ja nie jestem złośliwa. Po prostu mam poczucie humoru. Pamiętasz co to jest poczucie humoru?

— Wyobraź sobie, że pamiętam. — Nadęła się jak ropucha. — Mogę jechać czy nie? Nie będę o tym dyskutować...

— Nie, nie możesz.

— Dlaczego? Jacy wy jesteście. Nic wam się nie podoba! Dlaczego niby nie mogę?

— Przecież sama mówiłaś, że nie chcesz o tym dyskutować. Wyrzuć resztki, zanim wstawisz do zlewu.

— Resztki, resztki... — mamrotała pod nosem. — Nawet na obóz człowiekowi nie dadzą pojechać.

— Co to za obóz, co to za sukienka?

Gosia rozwalila się na leniwcu.

— Normalny. Obóz jak obóz.

— Gdzie?

— Nie wiem. Co to ma za znaczenie? Ty tylko gdzie, z kim, o której. Jak na przesłuchaniu! Z tobą w ogóle nie da się normalnie porozmawiać. Chcę jechać, tak trudno to zrozumieć? Muszę jechać — chlipnęła i broda od razu zaczęła jej drzeć. — A ty nic nie rozumiesz z życia. Czy ty kiedyś byłaś młoda?

— Jeżeli młodość to to, co ty wyprawiasz, to masz rację: nie byłam nigdy młoda...

— O, znowu to samo. Kolejki, wszystko na kartki, stan wojenny, brak kasy, strajki. Nie mogę już tego słuchać. Co to ma za znaczenie gdzie jest ten obóz?

— Żadne, ale skoro ty nie wiesz nawet gdzie... A co z chemią? — nagle przypomniała sobie mama.

— Oj, mamó, ty tylko jedno. Czy ciebie w ogóle interesuje moje życie? Nie. Ty tylko chcesz znać dane do rocznika statystycznego. Ile, z czego, jakie...

Mama ciężko westchnęła.

— Czy Witek dziś przychodzi?

— Tak, zaraz! — Zerwała się z krzesła i schyliła po rzucone tu rano połyskliwe rajstopy z lycrą. — I nie mów do niego Witek, tylko Wit! Czy to tak trudno zapamiętać?

Mama wskazała palcem rozrzucone ubranie Gosi.

— Czy to tak trudno zapamiętać? — powiedziała jak echo.

— Oj, mamó, jaka ty jesteś... wiesz... Tobie się dosłownie nic nie podoba.

I Gosia pobiegła do łazienki sprawdzić czy może pokazać się Witowi.

*

Przemek zaraz po powrocie do domu sprawdził pocztę.

Był e-mail od Kingi.

Kos, niesamowity ptak. Opisałeś go genialnie. Szkoda, że nie ma świadomości, iż jest bohaterem e-maila. Poczytałam o kosach i jeśli się nie mylisz, to masz genialnego sąsiada. Pogadamy o kosach wieczorem. Lecę na trening. Kinga.

*

— To co robimy? — Teresa usiłowała złapać swoje rozwydrzone, biegnące we wszystkich kierunkach włosy w kucyk.

— Muszę iść do biblioteki, sprawdzić coś. Mogę cię po drodze odprowadzić.

— Nie, mam czas, pójdę z tobą. — Poszła do łazienki. — Co będziesz sprawdzać? — krzyknęła.

— O kosach!

— O kotach?

— O kosach! — odkrzyknął Przemek i pożałował, że jej powiedział.

To był jego kos. Jego i...

— Co ty z tymi kotami?

Teresa cichutko do niego podeszła. Zajrzała mu w oczy i poczochnęła krótkie, sztywne włosy. Kiedyś, gdy pierwszy raz wziął ją za rękę, stali akurat i patrzyli jak kocica lize kolejno małe kocie szkraby. Uśmiechali się i myśleli o tym samym, że fajnie tak stać, trzymać się za ręce i patrzeć na koty. Świat od razu ma sens i człowiek wie po co wyskakiwać rano z ciepłego łóżka w chłodne życie.

*

— O co ci chodzi z tymi kotami? Czytam o kosach.

— Aha. Tak mi się skojarzyło.

— Źle ci się skojarzyło — odpowiedział trochę wbrew sobie, ale już się stało.

Teresa nie zasługiwała, żeby tak jej odpowiedzieć. Na szczęście się nie obraziła. Jak zawsze nie czepiała się słówek.

— Skojarzenia zawsze są dobre. Nie ma złych. W tym ich siła, że zawsze są tylko dobre skojarzenia. Zawsze indywidualne i zawsze dobre. Wolność. Jeśli komuś zwinność kojarzy się ze stróżką mleka, to czy to jest złe skojarzenie?

— Nie wiem. Daj mi jeszcze chwilę...

Wrócił do strony o ptakach. Skojarzenia go nie interesowały. Chciał być jak najbardziej kompetentny w rozmowie o kosach, a Teresa mu przeszkadzała.

„Zwinność i stróżka mleka... Ciekawe co Kinga...”

Schowwał tę myśl głęboko i skoncentrował się na notatkach o kosach. Zapisał jeszcze adresy stron o ptakach i wyszli. Kiedy Teresa podeszła do kiosku kupić coś z programem telewizyjnym, szybko wystukał esemesa.

Odezwę się koło dziewiątej. Poczekam aż kos zaśnie, a on nie lubi markować. Przemal.

Nie znał telefonu do Kingi, ale cóż z tego... marzenia też są ważne.

— Wiadomość? — Teresa spojrzała pytająco na komórkę.

— Jakies reklamowe śmieci. — Zablokował telefon i wsadził w pokrowiec przy pasku. — Co powiesz na serniczek? Dawno nie widziałem jak się wymazałaś kremem. Dlaczego żałujesz mi tego widoku? Serniczek?

— *Dusza moja — pragnie postu, ciało — karnawału.* Ale tylko z cytrynową herbatą. Wiesz, teraz mi przyszło do głowy kto to jest prawdziwy poeta.

— No, kto?

— Prawdziwy poeta mówi ludziom, co mogliby czuć, gdyby cokolwiek odczuwali. Sama to wymyśliłam! — Lekko podskoczyła, a jej włosy zaraz za nią.

— Chodź, moja ty mądra kobietko, chodź. Czyli mówisz, że gdyby cokolwiek odczuwali... Wysokiego mniemania o ludziach to się nie ma, co?

Objął ją za ramię i przez chwilę wdychał zapach jej włosów. Pachniały. Z całą pewnością pachniały.

*

— Czy widziałeś kiedyś pisklę kosa?

— Nigdy.

— Nie masz racji. Wierzę, że nosimy w sobie cały świat. I wszystko, co widzimy, czego doświadczamy, już w nas jest. Kos jest w tobie.

— Kos jest we mnie... A konkretnie w którym miejscu?

— Jesteś złośliwy czy mi się wydaje?

— Wydaje ci się. Kos jest we mnie, to oczywiste.

— Chyba poproszę, żebyś podał jakiś przykład oczywistości. Masz dobry?

— Mam same dobre...

Przemek chciał się spotkać. Musiał ją zobaczyć. Ona potrzebuje najpierw rozmawiać? Dobrze. Może. Może z nią gadać o wszystkim, godzinami. Potem zapyta kiedy się zobaczą. Na pewno o tym nie zapomni.

Kos, nawet gdyby rozmawiali do rana, i tak by ich nie powitał swoim gwizdem.

W budce były cztery jajeczka. Nie śpiewał już. Teraz miał inne zadania.

*

Teresa dłuższą chwilę oglądała zdjęcia.

— Mam wrażenie, że te pokrzywy są w przyjaźni z łódką. Nie widzę tu rywalizacji. Symbioza. Nasze jakby dodatkowo przytulało tę grupkę. Nasze, Przem... Czy to jezioro jest nasze? A zresztą nie odpowiadaj. Pewnie setki par tam chodzą i zaklinają Nasze, żeby było ich. Nic nie mówisz... Dobrze, pokaż jeszcze raz to ostateczne ujęcie. Ciekawe, skąd tam się wzięła ta łódka? Skąd się wzięła łódka... ta, co na brzegu od lat trwa? Wspaniała początek perfekcyjnego kiczu, co?

— Leży tam od lat, a to życia szmat.

Przemek przrzucał kolejne zdjęcia. Był z nich niezwykle zadowolony.

— Tak, ktoś ją robił, ktoś malował, ktoś ją tam wyciągnął na brzeg. Ktoś potem musiał o niej zapomnieć...

Pochyliła się nad Przemalem i pogodnie zaczęła:

— *Jedną burtą oparta o plażę, o dobrych czasach sobie marzę...*

Gdzie te ręce co mnie kiedyś kochały?

Wiosłowały, malowały...

Zapomniały?

— Masz już prezent dla Marty? — przerwał jej.

— Nie, ale mam już kreację dla siebie. Idę w tej.

Teresa przyłożyła do siebie szeroką spódnicę. Przemal rzucił okiem.

— Jest w porządku.

— To całkiem jak ty! — Zaśmiała się i jednym szybkim susem siadła mu na kolanach. — Tak?

Przemal nic nie odpowiedział.

*

— To twoje zdjęcie?

— Tak. Na pierwszym planie to ja.

Na pierwszym planie był poskręcany, suchy pień zmurszałego drzewa.

— Przestań! Ty je zrobiłeś?

— Tak. Podoba ci się? Mam też kilka innych.

— Można z nimi porozmawiać?

— Z kim?

— Ze zdjęciami. To cały czas mówi o ciszy. O tym, że można ją zobaczyć. Ja widzę na tym zdjęciu ciszę. Rozmawiam ze zdjęciem. Czasem zdjęcie ma coś do powiedzenia, czasem nic. Pustosłowie. Jaką mamy pogodę, ble-ble. O, słońce zachodzi, ble-ble.

Dziecko pije z kubeczka. Banaly. To takie zdjęciowe ble-ble. A rozmowa to coś intymnego...

— A co to jest, Kingo, rozmowa?

— To rodzaj spotkania. Może być udana lub nie, potrzebna lub zbędna. To poznanie siebie, udostępnianie siebie. To coś najcenniejszego. Skarb.

— Skarby się zbiera...

— Owszem, ja zbieram...

— Spotkamy się?

— Spotykamy się przecież w każdej rozmowie.

— Spotkajmy się więc po to, żeby porozmawiać.

— Ale po co? Wskaż jeden powód, dla którego mielibyśmy się spotykać. Przecież się znamy, rozmawiamy, spotykamy.

— A lody?

— Co lody? Chcesz je przełamywać?

— Nie, chcę je zjeść. Musimy się potkać, żeby zjeść lody.

— Ale moje lody! Mieszkam w Stargardzie. Będę... w sobotę.

„Sobota czternastego to urodziny Marty. Nie mogę tego zrobić Teresie”.

— Nie wytrzymam do soboty i... lody w sobotę są najgorsze. W piątek. Lody pasują do piątku. Dasz radę wyrwać życiu kawałek czasu dla mnie?

— Dam, ale nie będę wyrwać, bo nie lubię rzeczy postrzępionych. To zapowiedź, że coś się pruje. Odetnę ładnie i równo ten kawałek czasu dla ciebie.

— Przyjadę w piątek. Będę na dworcu o...

*

— Tato, mógłbyś nie stawiać tu cukru? — Mała (z nadmiarem fluidu na twarzy) pokazała ojcu, gdzie jest miejsce cukru.

— Nie. Jestem u siebie w domu i od dwudziestu lat cukier stawiam w tym miejscu. Dlaczego mam to zmienić?

— Kto się nie zmienia, stoi w miejscu — mruknęła Gosia.

— Kończ. Naprawdę cię zapytała jak się poznaliśmy? — Mama z emocji aż miała rumieńce.

— Tak. Po prostu i zwyczajnie. Jakby to było pytanie która godzina.

— I co jej odpowiedziałeś?

— No, która godzina — roześmiał się ojciec. — Prawdę. Nie wstydzę się tego, że żadna mnie nigdy nie chciała tylko ty.

— To znaczy co jej konkretnie powiedziałaś?

— No, że żadna mnie nie chciała, tylko ty.

— I tak było? — Gosi zaświeciły się oczy.

— Tak, przecież wam mówiłem. Robiłem co mogłem, pisałem listy miłosne do koleżanek. Zaczepiałem obce dziewczyny na dworcu, w kolejce. Wszędzie. Składałem wszystkie możliwe propozycje i nic. W końcu postanowiłem, że koniec — w tym roku muszę się ożenić. Miałem na oku trzy. Traktowałem je równo i sprawiedliwie. Jak jednej różę, to dwóm pozostałym też. Jak do jednej na herbatę, to od razu trzy misie jednakowe kupowałem. Wierzyłem, że się uda. Wtedy poznałem mamę. Umówiliśmy się do parku. I podobało mi się to, że miała ze sobą sok i kanapki. Taka praktyczna. Znów się umówiłem. Z tamtymi trzema jakoś nic nie posuwało się do przodu i po miesiącu...

— Oj, chyba wcześniej — włączyła się mama.

— ...chyba jednak po miesiącu... wyłożyłem karty na stół. Powiedziałem, że nie mam czasu na długą zabawę w motyla. To znaczy mogę, ale chcę wiedzieć na czym stoję. Dziewczyny zawsze mnie zwodzą, a jak przychodzi do konkretów...

— To znaczy do czego?

— Do miłości, córeńko. Nie mów, że nie wiesz co to miłość.

— Oj tato, przestań. Jesteś złośliwy. — Gosia lekko się zaczerwieniła. — Ciągłe się mnie czepiacie.

— Więc... to każda zaraz się wycofuje.

— I co mama powiedziała?

— Powiedziała jak pamiętam, że...

— ...że wyjdę za ciebie za męża, jeśli mnie poprosisz.

— Tak było. — Ojciec sięgnął po drobną rękę mamy i pocałował.

— Ale *love story* — prychnęła Gosia. — Historie miłosne są zawsze nudne i nieciekawe. Nie warto ich opowiadać. Wyciskacze łez.

— Tak, tak — przytaknęli rodzice. — Bardzo nieciekawe. Nudy na pudy. Tylko po co o nich ciągle czytasz, co? — Mama wstała dolać ojcu wody, bo lubił takie dolewki do ciągle tej samej herbaty.

— Mamy jeszcze tę pigwówkę? Napijmy się. Za to, że się udało.

— Nie chwał dnia...

— Racja. Za dzieci, że są jak złoto. Jaki jest symbol złota, Gosiu?

— Oj, z wami to naprawdę... — Gosia prychnęła i poszła do siebie.

Po chwili rodzice usłyszeli wściekle ryki. Gosia słuchała piosenek o miłości.

Przemal jeszcze przez chwilę patrzył na rodziców. Mama zaczęła kroić ciasto, a ojciec podszedł do niej od tyłu i z rozanielonym wyrazem twarzy objął ją w pasie.

„Po dwudziestu latach...” — pomyślał Przemal i przypomniał sobie jak kiedyś chcieli się rozstać. Pokłócili się o coś i mama zabrała ich do babci. Mama płakała, a babcia stała nad nią i mówiła: „A nie mówiłam”, i cały czas głaskała Przemka po głowie, jakby był już sierotą i należało mu się współczucie. Potem ojciec zjawił się tam z bukietem róż, który nie mieścił się w drzwiach. Przemek rzucił mu się na szyję i od razu zaczął zakładać buty. Nie chciał być sierotą. Tyle pamięta. A jeszcze i to, że mama ojcu wybaczyła. Tylko babcia była lodowata jeszcze przez pół roku, jakby to był jej mąż, nie mamy. A jednak pokonali potwora, udało im się. Cud czy tylko trochę wysiłku?

Rodzice byli w porządku. Może dlatego, że mieli siebie. Przemal pomyślał, że teraz jest dobry moment, żeby zapytać ojca o co się wtedy pokłócili. Ojciec na pewno by odpowiedział. Tylko po co o to pytać... To tak, jakby chciał celowo zmaćić im tę chwilę z pigwówką.

Bez słowa wyszedł. Mieszkanie było małe, ciasnawe. Żeby rodzice byli przez chwilę sami, dzieci musiały zniknąć, więc zniknął.

*

— Jest cudowny. Taką codzienną cudownością co prawda, ale po co komu niecodzienna cudowność... — Teresa coś mówiła.

„Chyba do mnie” — ocknął się Przemal.

— Co to? — pomacał delikatnie.

— Szlafrok albo jak chcesz podomka.

— Chcę szlafrok. Marta się ucieszy?

Teresa nic nie odpowiedziała, tylko delikatnie przejechała jedwabnym paskiem po twarzy Przemala.

— To się gniece? — nagle się zainteresował.

Położył sobie na dłoni perłowy, mieniący się nierówno rozłożonym światłem kawałek szlafroka.

Spod spodu prześwitywała jego dłoń. Niesamowita tkanina. Jest, ale jej nie ma. Wszystko jest osłonięte, a nic nie zakrywa. Jeśli ręka prześwituje, to piersi też będą. Jakie Kinga ma piersi? Przecież musi mieć piersi. O tym wcześniej nie pomyślał...

Jeszcze raz zaczął bawić się połą szlafroka i gapić na swoją prześwitującą rękę.

— Widzę, że olśnił cię ten szlafrok. Będzie zadowolona, prawda?

— A gdzie kupiłaś? Były zielone?

— A co? Myślisz, że Marcie lepiej byłoby w zielonym?

— Nie, nie... Tak tylko...

Teresa podejrzliwie na niego spojrzała. Czym prędzej poprosił więc o kanapkę z pomidorem i białym serem oraz pochwalił wybór sukienki. Uśpił niepokój.

W jakim kolorze Kindze będzie dobrze? Tego nie wie. Jeszcze jednego nie wie... Czy Kinga jest... Czy zamiast niej jest wielki niedomyty brodac, który nudzi się w pracy i udaje Kingę. Ale przecież będzie wiedział. Za siedemdziesiąt pięć godzin już będzie wiedział. Gdzie do cholery jest to nakręcanie czasu? Gdzie?

*

— Jak cię poznam?

— A jak byś chciał?

— Wierzę w zdjęcia. Pogadam z kilkoma i na pewno cię poznam.

— Dobrze, sam chciałeś. Ale jutro, bo nie mam na dysku nic sensownego.

— Poczekam.

*

Kinga przysłała dwa zdjęcia. Ona jako czterolatka z wielkim misiem zakrywającym połowę jej postaci oraz ona chyba niedawno, ale w papilotach, sztywnej seledynowej maseczce na twarzy i z papierosem w dłoni. „Szukam męża” — dopisała.

— Czy pod tym błotem jesteś ty? I kto robił to zdjęcie?

Przemal poczuł ukłucie zazdrości, że Kinga pozwoliła komuś widzieć się w tym stanie. Czy jemu by pozwoliła?

— Ojciec.

A, to w porządku. Ojca mógł znieść... ostatecznie.

*

Całą drogę się denerwował. Nadgryzł sobie skórę przy kciuku i co kilkadziesiąt sekund zerkał na zegarek. W połowie drogi zaczął żałować, że nie wziął koszulki na zmianę, bo czuł się nieświeżo. W każdym razie niewystarczająco świeżo — jak dla Kingi.

Pociąg dojechał.

Rozejrzał się. Nie ma nikogo.

To znaczyli byli ludzie... jacyś tam... ale nikt nie był Kingą. Przemala oblał zimny pot. Może jej wcale nie ma, może jest tylko gruby brodac, którego tak bał się spotkać zamiast niej. Gruby, złośliwy brodac, który teraz go obśmieje.

Jest. To ona. Kiwa ręką. To Kinga.

Stała na swoim miejscu, ani kroku nie robiąc w stronę Przemka. Była w sukience, a na ramieniu miała torebkę. Tyle zauważył z ubrania...

Podali sobie ręce. Obie sztywne, obce.

„Gdzie te przegadane godziny? Gdzie ta bliskość myśli? Przecież myślimy podobnie, tak genialnie nam się gada? Co się stało? Skąd ta szklana ściana między nami?”. — Oboje myśleli podobnie.

— To co z lodami?

— Przełamujemy?

— Mam lodołamacz. — Wygrzebał z kieszeni gumę jabłkową bez cukru. — Aha, i to ja stawiam.

— Wykluczone. Jesteśmy na moim terenie. Słyszałeś o feminizmie?

— Nie. W życiu nie słyszałem. Mówiłem ci, że ja z prowincji jestem. To jakaś choroba?

— Ja ci dam! — Kinga szturchnęła go w bok.

Po chwili było już lepiej, a w lodziarni całkiem dobrze. Kinga wzięła trzy gałki: cytrynową, orzechową i waniliową. Za to Przemal skusił się aż na trzy jednakowe — tiramisu. Te lubił i nie sięgał po inne.

Kinga pokazała mu swoje miasto. Było co pokazywać, bo Stargard jest ładny. Zaprowadziła go w swoje ulubione miejsca. W każdym Przemal usiłował zgadywać co ważnego się tu wydarzyło, a Kinga prostowała jego domysły i wspominała te resztki wydarzeń, które w niej zostały.

— Może jeszcze jedne lody?

— A można podziękować?

— Można.

— To ja dziękuję.

— Herbata? — Kinga poprawiła zsuwającą się torebkę.

— A masz Earl Grey'a?

— Mam.

— Masz niski kubeczek, koniecznie z grubym owalnym uszkiem?

— Wiesz, że mam!

— Jaki obrazek?

— Zaraz, zaraz... chyba abstrakcja, o ile pamiętam.

— Abstrakcja? Nie przepadam, ale ostatecznie w drodze wyjątku mogę przyjąć zaproszenie.

— A jak bym nie miała Earl Grey'a i niskiego kubka z owalnym uszkiem, to byś nie przyjął?

— Za kogo ty mnie masz? — Udał święte oburzenie. — Oczywiście, że bym nie przyjął.

Kinga roześmiała się i jej ramię znalazło się niebezpiecznie blisko ramienia Przemka. Dotknęli się i nie odskoczyli. Przez chwilę szli koło siebie, pozwalając, żeby ich ręce się poczuły.

Przemal oglądał zdjęcia Kingi. Miała ich sporo, ale raczej nie krajobrazy czy martwe natury z każdej możliwej strony, tylko kronikę własnego życia. Zdjęcia były słabej jakości, ale Przemek oglądał je z większym zainteresowaniem niż zdołałyby w nim wzbudzić prace artysty-fotografika. Na każdym była Kinga lub osoby dla Kingi ważne, a więc ważne i dla Przemka. Albumów było kilka i to potężnych.

Herbata i zdjęcia zabrały im czas do treningu Kingi.

— Wybacz, mam trening... Nie przypuszczałam...

— ...że to potrwa tak długo. Masz coś przeciw temu, żebym cię odprowadził na ten trening?

— Nie, skąd! Możesz nawet popatrzeć, bo są trybuny dla gości. A ty jesteś moim gościem...

Przemek nie był na żadnym treningu... Nie widział sali, innych ćwiczących ani trenera. Była Kinga. A kiedy wyszła, z wielką torbą i wilgotnymi koniuszkami włosów, Przemal nie miał wątpliwości... Pachniała. Pachniała cudownie! Może dlatego przez cały czas starał się być jak najbliżej niej.

— A co z pociągiem? O której masz?

— Może dasz mi szansę, żebym przepuścił jeszcze parę? Mogę cię odprowadzić?

Wyjeżdżanie stąd byłoby samobójstwem. Przemek czuł, że gdyby teraz jego noga stanęła na dworcu — umarłby. Serce by mu eksplodowało z rozpacz.

— To oczywiste. A mogę zaproponować jeszcze jedną herbatę?

— Masz zieloną?

— Mam.

— Z cytryną?

— Znajdzie się jakaś resztk.

— Dysponujesz niską, grubą filiżanką bez ucha?

— W razie czego ucho utłukę — lekko odparła Kinga i swoim ramieniem szturchnęła ramię Przemka.

Przepuścił jeszcze dwa pociągi, zanim mama Kingi niedyskretnie dała do zrozumienia, że chciałyby swobodnie poruszać się po własnym mieszkaniu.

Musieli się pożegnać.

— Wyślij coś jak tylko przyjedziesz. Odbiorę rano.

*

Pociągu niestety nie odwołano. Przyjechał. Było ciemno i wiał silny wiatr. Ptaki spały, tylko synogarlica ponuro odzywała się znad dachu dworca.

*

Szlafrokiem zachwycała się kolejna osoba. Na Marcie naprawdę wyglądał wspaniale. Teresa dobrała kolor idealnie.

Przemal niewyspany, kipiący wrażeniami po spotkaniu, nie był dobrym kompanem do rozmowy. Wszyscy go denerwowali.

Teresa wyciągnęła go do tańca. Objął ją i w milczeniu trzymał w ramionach. Przypominał sobie... wczoraj. Wczoraj... dlaczego nie ma wczoraj?

— Co mówiłeś?

— Mam nowe zdjęcia.

— Jaki temat?

„O Boże, jak się wkopałem! Przecież na każdym będzie Kinga. Jaki temat? Jaki temat?”

— Portrety.

— Znakomicie! — Teresa odparła nieco bez przekonania i spod przymrużonych oczu popatrzyła na Przemka. Ostatnio miał fazę portretów, kiedy zaczynał z nią chodzić. Od tego czasu robił tylko próby techniczne z głębią ostrości.

„Co ja zrobię, co ja jej pokażę? Imbecyl zamrożony ze mnie. Dobra, jutro lecę do parku, cyknę kilka i z głowy. Co to, portretów nie umiem zrobić? Albo pokażę jej stare, przecież nie pozna. A jak pozna? Już lepiej zrobię kilka”.

Był zły na Teresę. To przez nią będzie musiał gnać do parku i pstrykać bzdury.

Trudno. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

*

Wstał niemal równo z kosem. Nie chciało mu się okropnie, ale co robić.

O tej porze park był pusty. W gałęziach słychać było witające dzień ptaki, ale nie mógł ich sfotografować, bo po pierwsze — nie miał tyle czasu, a po drugie — nie wziął teleobiektywu. Poszedł do łódki, nad Nasze. Światło padało pod nieznanym kątem i pokrzywy podrosły. Zrobił kilka ujęć, a potem, wracając, zobaczył młodą kobietę machającą do jakiegoś dzieciaka.

„Chyba fotogeniczna...”.

Zrobił kilka klitek.

Jakiś cieć-pijaczek oparty głową o przystanek.

Nazbierało się prawie dwadzieścia. Starczy.

Założył na aparat skórzany pokrowiec i poszedł zmierzyć się z kolejnym dniem.

*

— Słyszałem, że to trudny okres, ale żeby aż tak... — Ojciec skinieniem głowy podziękował mamie za dolewkę do herbaty.

— O co ci znowu chodzi? — Gosia był najeżona i kolczasta jak wystraszony jeź.

— Konkretnie to chodzi mi o brak twojego zaangażowania w sprawę domu.

— Tato, mów po ludzku.

— Nie pomagasz w domu. Czy teraz jest po ludzku?

— Ja nie pomagam? Co za bzdura. Wiecznie coś mi każecie. Ciągłe muszę coś robić!

— Powtarzam: nigdy nie pomagasz. Nawet poproszona zaraz się wyślizgujesz jak piskorz.

— Niestety, tato, nie mogę się z tobą zgodzić — poważnym głosem zaczął Przemal. — Pamiętam jak Gosia wybierała do koszyka wszystkie mirabelki u cioci Hani.

— To było z sześć lat temu.

— Zgadza się, ale dlaczego nadużywasz słowa „nigdy”? — Przemek uśmiechnął się do siostry przewrotnie.

— Mutant — syknęła Gosia.

— Siostra mutanta — zrewanżował się.

— Zwierzak.

— Siostra zwierzaka.

— Wiesz co, matko zmutowanych zwierzaków? Może byśmy się przewietrzyli i pogadali o wnukach?

— Na mnie nie liczcie. Ja nigdy nie będę miała dzieci.

— Dobrze. Liczymy tylko na Przemusia.

— Teraz się odkryliście! Widzicie jacy wy jesteście? Tylko Przemek się dla was liczy — końcówkę Gosia powiedziała już z płaczem i szybko wyszła do siebie.

— Co ją tak zdenerwowało?

— Osoba Przemusia, jak sadzę — spokojnie zauważył ojciec.

— Ja? To ona jest teraz koszmarna — zaczął Przemal, ale mama natychmiast mu przerwała.

— Wiesz, jak koszmarnym osobnikiem ty byłeś w jej wieku?

— Ja? Niemożliwe! Nic takiego nie pamiętam. Byłem miły, spokojny i słodki. To wy wiecznie się mnie czepialiście! — Roześmiał się. — Mam na to dokumenty w postaci zdjęć.

— Pójdę do niej. — Mama podniosła się z miejsca. — Ojcie zmutowanych zwierzków, wstrzymaj się ze spacerem.

— Wstrzymam się, wstrzymam. Idź. Najwyraźniej trzeba się nad nią politować.

Przemek spojrzał na ojca, który wstał i zaczął wkładać naczynia do suszarki, a potem mleczkiem do szorowania potraktował zlew w kuchni.

„Ten to ma dobrze — pomyślał i ponownie zerknął na ojca. — Szczęściarz. Włósów prawie nie ma, brzuch drwi sobie z paska w spodniach, pomarszczony... Powinien być załamany sobą i swoim życiem, a ten sobie podśpiewuje”.

*

— To jest najlepsze. — Zdecydowanym tonem zawyrokowała Teresa. — Jaki dasz tytuł?

— Nie wiem. Nie ma pojęcia.

— Daj tytuł „Mój syn”.

— *Sorry*, ale to twarz młodej kobiety. Czegoś nie łapię...

— Ona patrzy na syna, to widać po oczach. „Mój syn” — to jest dobre. Jest taki motyw chyba u Słowackiego: „Widać po oczach kobiety, że patrzy na syna...” czy coś w tym guście. Co tak patrzysz? Zaliczyłam Romantyzm na pięć. To dobre zdjęcie, przemawia w sensie metaforycznym i niemetaforycznym. Matka patrzy na synka — widać to po niej. A resztę skasuj. O czym myślałeś jak je robiłeś? Szkolne błędy...

— Nieprawda! — warknął Przemek, chociaż sam wiedział, że zdjęcia są do niczego. — Nie masz racji, jesteś uprzedzona.

— Ja jestem uprzedzona? Do czego?

— Do mnie chyba. Ciągłe mnie krytykujesz.

— Ciągłe? A kiedyż ja cię ostatnio... To ty wiecznie jesteś nieobecny. Jak ostatnio poszliśmy nad Nasze... Co my robimy? Co się nam stało?

— No właśnie nie wiem, na chwilę wypuściliśmy jakieś demony czy co?

Teresa podeszła do Przemka i wyciągnęła ramiona.

— Chodź, pocieszymy się nawzajem.

Objęli się i tacy złączeni, czując ciepło swoich brzuchów, kołysali się na boki nie mówiąc.

— Mama prosiła, żebyś zajrzała do nas teraz, bo jedziemy na kilka dni do babci. Zajrzysz?

— Czy jestem zdolna, żeby ci czegoś odmówić?

— Wiem — powiedział Przemek i oparł brodę na czubku jej głowy.

Wspominał inny zapach.

*

— Piszesz czasem wiersze?

— Jak każdy, tylko że raczej wypowiadam się obrazem. Pstrykam.

— Przyślij coś.

— Nic nie będę przysyłać, pokażę tylko osobiście albo...

— Albo wcale... To chciałeś napisać, prawda?

— Tak, Kingo. Kiedy mogę przyjechać? Nie znęcaj się nade mną...

— O czym ty mówisz?

— Kiedy masz czas? Kiedy wykroisz dla mnie kawałeczek? Piątek?

— Ten najbliższy... nie dam rady... Chyba że sobota?

„Sobota... sobota... Niech będzie moja strata, trudno. Jak już musi być sobota, to niech jej tam...”.

— Dobrze. Ale pamiętaj: jak tylko coś by się zmieniło, to piątek. Zdecydowanie lepszy jest piątek.

— Dlaczego?

— Jest szybciej.

*

Znów była. Siedziała na ławce obok niego. Trzymała w dłoni przed chwilą obejrzone swoje portrety. Patrzyła przed siebie i zachowywała się, jakby nie było tych słów, a Przemal wciąż mówił. Cały czas, słowo za słowem, powstawało jego wyznanie.

— ...nic na to nie poradzę, że zakochałam się w tobie. Chyba wiesz o tym, bo nie wiem jak możesz nie wiedzieć. Milczysz, ale to niczego nie zmienia. Kocham cię.

— Stawiasz mnie w jakiejś niepojętej sytuacji. Cokolwiek teraz powiem, będzie źle. Odezwij się wieczorem, teraz muszę zostać sama.

Podążyła mu rękę, a potem wolniutko się pochyliła i pocałowała go w policzek. Cały jej zapach — z brwi, z czoła, z nosa, z ust — wdarł się do głowy Przemka.

Został sam, patrząc jak ona odchodzi — ogłuszony zapachem, niezdolny, żeby iść na dworzec i wrócić...

Schował głowę w dłoniach i poczekał, aż będzie zdolny do życia.

Przepuścił tylko dwa pociągi. Niezły wynik.

*

— ...wróćmy do tego, co ci powiedziałem.

— Cały czas rozmawiamy tylko o tym.

— Gdybyś wiedziała co czuję, jak kocham... zrozumiałabyś.

— Przemek! Powiedziałeś mi, że mnie kochasz. To już nie są słowa, to jest coś, z czym muszę żyć. Muszę coś zrobić... coś wiedzieć. A ja nie wiem! Nie wiem! Co mogę na to poradzić?

— A co ja mam poradzić? Zresztą nie chcę nic radzić. Boli mnie każdy dzień. Jedyne, co mam, to... nadzieja.

— Przemek, nie stawiaj mnie pod murem, błagam...

Krótko rozmawiali. Przemka interesował już tylko jeden temat. Nie zahaczał nawet żadnego innego poza... tym najważniejszym.

*

Teresa lubiła pilnować ich mieszkania. Robiła to już kilka razy. Podlać kwiaty, przewietrzyć, trochę pochodzić po mieszkaniu, nastawić radio, żeby rozruszać zastałą w domu energię. Teraz jeszcze, za pozwoleniem Przemka, włączyła komputer i pisała pracę o Dariuszu I, królu perskim.

Potem... ot tak, zajrzała do archiwum Gadu-gadu.

„Kocham cię... kiedy wreszcie... twoje zdjęcia... już gotowe, ale pokażę ci tylko osobiście...”

Czy to prawda?!

„Może on skądś to ściągnął, a mnie tylko wydaje się, że to wszystko pasuje? Mój Przemal? Niemożliwe! Wszyscy, ale nie on. Mnie nie może to spotkać. Nie może”.

Potem zobaczyła folder ze zdjęciami. Samowyzwalacz... Siedzieli na ławce. Potem ona uśmiechała się, a Przemal robił jej zdjęcia. Teresa знаła te ujęcia z czasów, gdy robił jej seriami portrety.

Komary dopisywały w tym roku. Kos był zadowolony, łatwiej było zapychać wiecznie rozdziawione dzióbki. Teresa jednak zamknęła okno. Było jej zimno, a kos jej nie interesował.

„Spokojnie, zaraz ci przejdzie, zaraz się uspokoisz. Przecież to niemożliwe. Jest jakieś inne wytłumaczenie. Na pewno jest”.

„Siostra? Chyba że Mała przeszła operację plastyczną i odsysanie tłuszczu. Warsztaty z fotografii? Tylko skąd te ucięte nogi w kostkach? To tamta robiła... Kuzynka? Tak, to na pewno kuzynka! Nazywa się Nadziejka, a na drugie Matka Głupich... To się podobno zdarza. Ale innym! Innym! Nie nam! Nam nie ma prawa!”.

Ręce się trzęsły i nie chciały trafić kluczem w zamek. Na schodach potknęła się i przewróciła. Krew, kolano...

Zaczęła ryczeć, ale i to nie pomogło.

*

Teresa głośno szlochała, siedząc na klatce schodowej. Kiedy już nie mogła nawet płakać, obtarła twarz przodem bluzki i wróciła do mieszkania Przemala, żeby sprawdzić czy na pewno zamknęła drzwi. Zamknęła.

— Zakochał się — szeptała do siebie, wlokąc się do domu. — I co teraz będzie? A gdybym to ja się zakochała, a on by mnie nadal kochał, to co by zrobił? — Nagle przystała, bo odpowiedź ją samą poraziła. — Nic. On nic już by nie mógł zrobić. Taki ktoś jest już poza grą.

Spojrzała w okna swojego domu. Wszystkie były oświetlone. Pociągnęła nosem i poszła nad Nasze — posiedzieć, ale już nie myśleć.

*

Wróciła następnego dnia. Przeczytała jeszcze raz.

Jest i telefon Kingi — jakby się prosił, żeby go zobaczyła.

Wybrała numer.

— Cześć. Rozmawiam z Kingą?

— Tak...

Głos w słuchawce niepewny, ale miły.

— Masz miły głos — zaczęła. — Nazywam się Teresa i jestem znajomą Przemysława.

— Jakiego Przemysława?

„Neutralny ton. Udaje, że nie wie o co chodzi”.

— Przemka z Choszczna.

— A, cześć! Siostra? Coś się stało?

„Niepokój... Zadrzała, jest wrażliwa. Boi się o niego” — rejestrowała Teresa.

— Ma się dobrze i nie jestem siostrą. Jestem jego dziewczyną.

— E?

— Chodzimy ze sobą od prawie dwóch lat. Dlaczego zawracasz głowę mojemu chłopakowi? Możesz to jakoś wytłumaczyć?

— Chyba mogę...

Kinga oniemiała.

„Dziewczyna Przemka! Nie zająknął się na ten temat”.

Rozmawiali nawet o tym, jak w dzieciństwie podglądali rodziców i o tym, jak zdarzało im się snobować znajomością obcych słów, o jakich prezentach marzyli, gdy byli mali i o tym, dlaczego karpie na obrazach są przerażające, czemu człowiek powinien bać

się siebie i co to jest marzenie (oczywiście definiowali czym jest marzenie). Dokonali nawet podziału marzeń na trzy kategorie, ale o dziewczynie ani słowa. Spryciarz.

— Słuchaj, on nie ma u mnie żadnych szans. Słowo honoru.

— Wiesz, jakoś mnie to nie uspokaja...

W końcu, kiedy już do obu dotarło, że ich rozmowa musi zakończyć się niczym — zakończyły ją niczym.

*

— Jak zawsze wspaniale! Jesteś skarbem, dziecko. — Mama Przemka pogłaskała ją po włosach.

— Chodź, pokażę ci coś...

Teresa z uśmiechem pociągnęła Przemka do jego pokoju. Lekko się ociągając, dał się zaprowadzić i posadzić przed komputerem.

— Patrz, co odkryłam. — Nadal z uśmiechem i pełna werwy Teresa otworzyła jego archiwum Gadu-gadu.

Milczenie.

— Zanim skłamiesz coś niefortunnego lub poczęstujesz mnie czymś w stylu tych zdjęć robionych na chybcika, ja ci coś powiem: dzwoniłam do niej. Wychodzę. Przemyśl wszystko.

Za Teresą zamknęły się drzwi.

U kosa słyhać było popiskiwanie małych, ilekroć on albo żona przylecieli z komarem. U Przemka w pokoju i w głowie panowała przerażająca cisza.

*

Siedział na rattanowym fotelu u Teresy.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona ci powiedziała?

— Nie czuję się w obowiązku niczego tłumaczyć.

— Grzebanie w cudzej korespondencji narusza elementarne...

— ...zasady. Zanim wspomnisz coś o zasadach, przemyśl swoją kwestię, bo, niktogo nie obrażając, może ona zabrznieć w twoich ustach groteskowo, nie sądzisz?

— Ale grzebałaś w moich plikach!

— Jakoś nie mam wyrzutów sumienia. A powinnam? Cieszę się, że to zrobiłam. To wbrew wszelkim zasadom, fakt.

— Teresa, mi też jest ciężko...

— Nie wiem czemu mnie to nie wzrusza. Powinno wzruszać, a nie wzrusza. Dziwne.

— Kinga powtórzyła mi waszą rozmowę.

— Powiedziała ci, że nie masz u niej żadnych szans? Bo mi tak powiedziała, to cytat. „On nie ma u mnie żadnych szans”.

— Tak.

— Przykro mi. Nie czuję satysfakcji, choć nie przeczę, że oddałabym dużo, by ją czuć. Jest mi przykro wbrew rozsądkowi i może nawet wbrew tobie. Współczuję ci. Kochać kogoś, kto nie kocha, to trudny kawałek chleba, ale też daje satysfakcję, ja ci to mówię. Gdzie Mała? Daj jej to. — Wyciągnęła w kierunku Przemęła jakieś zawiniątko. — Prosiła, żebym pożyczyła — dodała cichutko.

— Tereniu...

— Tereniu? Nie bój się, nie skoczę z mostu — cały czas chodziła, nie mogła ustać w miejscu. — Nie wiem co zrobić, ale most odpada. Tym bardziej, że nie ma nad Naszym żadnego. A przy pomocy zdecydowanie za płytko... jeszcze bym sobie guza nabiła. No, na razie. Aha... i marniutka ta wasza definicja samotności. Coś jakby naciągana. Ale jeśli to ze mną byłeś tak samotny...

— Teresa! Błagam, przestań!

Postała chwilę, a potem cichutko otworzyła drzwi pokoju Przemka i wyszła.

*

— Ja będę czekać.

— Nie czekaj. Przemek, ja wszystko przemyślałam. Dobrze nam się rozmawia, lubię cię... nawet bardzo, jesteś moim najlepszym przyjacielem... Ale cię nie kocham i nie daję żadnych szans temu uczuciu. Nie widzę żadnych możliwości.

— Spotkajmy się!

— Już się spotkaliśmy, i co? Okazało się, że mnie kochasz, a jednocześnie przeoczyłeś drobny fakt, że masz komplet! To nie jest dla mnie drobiazg. Ja z nią rozmawiałam, czułam jej ból. Rozumiesz? Czułam go. Ona mówiła, a mnie zimno lizało po plecach. Masz chłopaka — własnego, swojego, a on wykradł się cichcem z domu i roztrwania po świecie to, co razem znaleźliście. To było wasze, wspólne, a ty to zmarnowałeś. Chciałbyś takiego chłopaka?

— Nie — po chwili odpisał Przemek.

— Jeśli chcesz pogadać, dlaczego ambitne książki muszą być smutne, to spotkajmy się na Gadu-gadu, ale jeśli chcesz wracać do tego, co się stało, to odmawiam. Spadam. Nie gniewam się ani nic z tych rzeczy. Po prostu muszę już kończyć. Hej.

*

— Aparycja jest bardzo ważna i nie ma co udawać, że nie jest.

— Moim zdaniem tylko na pierwszy rzut oka. Nigdy bym się nie zaprzyjaźnił z kimś, kto jest tylko ładny, bo ładność wystarcza na krótko.

— Drażnią mnie w twoich ustach słowa „zawsze” albo „nigdy”. Może się nawet domyślasz dlaczego.

— A ja? Skoro masz tak jednoznaczne kryteria atrakcyjności, to jak mnie oceniasz?

— Ma być miło czy szczerze?

— Szczerze.

— Jesteś pewien? Zastanów się.

— Jestem pewien. Szczerze.

— Atrakcyjność fizyczna nie jest twoją mocną stroną.

— Nie jestem atrakcyjny? Zabolało, pani profesor, zabolało.

— Myślałam, że rozmawiamy szczerze, a widzę, że miało być miło. A przecież pytałam...

— Nie, wszystko dobrze. Tak wolę. Połknę tę żabę... A gdybyśmy wrócili do „miło”?

— Ach, Przemal! Jesteś bardzo przystojnym i niezwykle atrakcyjnym facetem. Mieszanka macho i łagodnego baranka. Mdleję na twój widok!

— Szkoda, że nie poprosiłem o „miło”. Głupi byłem...

— Przemal, ustalmy jedno: przyjaźń to absolutnie wszystko, na co możesz liczyć.

— Nie ma minuty, żebym o Tobie nie myślał, Kingo...

Kiedy skończyli, Przemal poszedł się umyć.

Zajrzał w lusterko.

„Kingo ma rację — nie jestem atrakcyjny. Jestem zmięty i szary jak grzyb i do tego niejadalny. A najgorsze te brwi...”.

Zapalił nad lustrem dodatkowe światło i zaczął oglądać się z każdej strony. Jednak nic nowego w lustrze nie zobaczył. Tylko siebie.

*

— ...na tę imprezę?

— Wybacz, Przemek, ale poprosiłam już kolegę, kumpla, żeby ze mną poszedł. Po prostu chcę się wybawić za wszystkie czasy, a z tobą nie czułabym się tak swobodnie.

— Dlaczego?

— Dlaczego?! Napięcie, nie czujesz go? Ja czuję. Ono jest. Wielkie i lodowate jak zatopiony Titanic. A ja nie potrafię tańczyć napięta. Jeśli ty potrafisz — gratuluję.

— Może przyjadę tylko na chwilę?

— To bez sensu.

*

W telewizji była reklama. Dziewczyny na imprezie. Tańczą. O zgrozo, są też chłopcy, jak to na imprezie. Nagle między postaciami, na trzecim planie, mignęła mu Kinga.

„Wpadam w obłąd”.

Zostawił oglądających rodziców i poszedł do siebie.

„Teraz Kinga tańczy, czyjeś ręce leżą na jej plecach. Może nawet ktoś ją przytula. Może położyła głowę na ramieniu tego dupka... tego błazna! Kolega... Podstępny chamek i tyle. Po prostu jest na miejscu, w tym jego przewaga. Pocałują się? Nie, dość! — Przemaal zerwał się z łóżka. — Nie zniosę tego. Dlaczego muszę tak cierpieć?”

Sięgnął po książkę. Przez pięć minut wpatrywał się bezmyślnie w tekst. Potem sięgnął po komórkę.

„Kochana Kingo. Jestem z tobą. Mam nadzieję, że tańczysz i bawisz się wspaniale. Całuję mocno. Przemek”.

Kinga odpisała dopiero następnego dnia po południu.

„Dzięki za esemesa. Dopiero siadam do komputera, bo wróciłam zmęczona. Zmęczona ciałem, młoda duchem... Przejrzałam naszą korespondencję i... wracając do wątku z ubiegłego roku: Kto to jest poeta?”

*

— Ktoś mi kiedyś powiedział, że poeta to ktoś, kto mówi ludziom, co mogliby czuć, gdyby byli zdolni to odczuwać.

— Mądre.

— Fakt.

— Ja bym tak zdefiniowała poetę: Facet, który wiersze pisze. A przecież napisanie wiersza nie wystarczy, żeby być poetą, prawda?

— Nie wystarczy. Może bym wpadł któregoś dnia?

— Teraz to na serio: nie dam rady. Jestem zawałona pisaniną i kuciem.

„Poczekam” — chciał napisać, ale zaczął nowy wątek.

*

Esesemes do Teresy:

„Wszystkiego dobrego na urodziny. Przemek”.

Szybko — zanim się rozmyśli — wysłał go.

„Dzięki za pamięć, doceniam. Może wpadniesz?”.

Przemek czym prędzej ruszył kupić jej prezent. Tylko co? To nie było takie łatwe. Szlafrok w każdym razie odpada.

„A to?”

Zobaczył na wystawie kwaciarni sporą kolekcję maleńkich witraży na okno. Jest ptak, nawet podobny do kosa. To będzie dobre. Jego kos. Może mu pomoże?

Pani starannie go opakowała i Przemal szybko pognął do Teresy.

Otworzyła. Wysłuchiwała życzeń i zaprosiła do mieszkania. Rodziców nie było. Nawet babcia Teresy gdzieś znikła. Za to były trzy jej najlepsze przyjaciółki, w tym Marta.

— Napijesz się?

— Chętnie.

Teresa wyszła do kuchni. Przemal został z dziewczynami sam.

Milczeli. Było to ciężkie, pełne wyrzutu milczenie. Marta ani na chwilę nie przedstawiała się w niego wpatrywać.

„Na pewno cieszy się, że mam takie idiotyczne brwi” — pomyślał Przemal i udawał, że nie dostrzega jej wzroku.

— Opowiedz nam o tym, jak mogłeś być taką podłą świnią — wolno i spokojnie powiedziała Marta.

„To na szlafrok dla niej dałem połowę ceny” — pomyślał.

— Dajcie mu spokój — krzyknęła z kuchni Teresa.

— Nie ma mowy! A ty nie podsłuchuj! — Marta aż zacisnęła usta. — Jesteś stu-procentową męską szowinistyczną świnią! Takich jak ty powinno się publicznie rozstrzelać. Dla przykładu i ku przestrodze dla tak wspaniałych dziewczyn jak Teresa!

— Chciałbym mieć coś na swoje usprawiedliwienie... — Przemek rozłożył ręce.

Wcale nie miał zamiaru się obrażać. Patrzył na Martę i zastanawiał się, jak też służy jej szlafrok. Może go spaliła, wiedząc, że połowa jest od niego?

— I co? Jesteś z tą zdziwą?

— Nie.

— Mam nadzieję, że cię rozkocha, a potem wykorzysta i rzuci. Tego ci życzę!

— Martuś, daj spokój.

— Masz rację. Wiem, że to może tak wyglądać... z boku... — zaczął Przemal.

— Nie z żadnego boku, tylko takie są fakty! — Widać było, że Marta z trudem się hamuje, żeby nie wytłumaczyć mu ręcznie jego winy.

— Martuś... — odezwała się prosząco Teresa. — Co komu jeszcze zrobić? Nie będziemy przecież teraz się kłócić. Teraz będziecie mi śpiewać „Sto lat”. Mam nadzieję, że nie dożyję setki. Dziewięćdziesiąt dziewięć mi wystarczy. Dziewięćdziesiąt dziewięć,

dziewięćdziesiąt dziewięć niech żyje nam! — Teresie załamał się głos, ale ledwo słyszała.

Przemaal usłyszał.

Było nawet niezłe, tylko Marta co pięć minut obrzucała go wyrzutami.

Teresa dyskretnie dała znać dziewczynom, żeby zostawiły ich samych. Kiedy już poszły, jeszcze po coś sięgnęła i stanęła przy drzwiach.

— Dzięki, że pamiętałeś. Serio.

Była bardzo ładna. Szczególnie włosy, takie nieopanowane.

— Masz kogoś na oku? — powiedział bardzo cicho.

— Wiesz, że nie masz żadnego prawa zadawać mi takich pytań.

Przemek kiwnął głową nie podnosząc wzroku.

— Rozchmurz się. Odpowiem ci. Mam.

— Na którym? Bo jakoś nie widzę. — Stał na palcach i udawał, że pilnie obserwuje jej powieki.

— Zawsze ten sam.

— Tak myślisz?

— Nie. Tylko tak powiedziałam. Dobrze, że nie wiesz, co myślę, bo ja sama nie chcę tego wiedzieć. Przem, posłuchaj... Potraktujmy ten wieczór jako naszą fajkę pokoju. Co ty na to?

— Nie mogę zrozumieć jak ty...

— Mogłam ci wybaczyć? Ja też tego nie rozumiem. Ale wybaczyłam i koniec. Kropka. Nie nadaję się na bohaterkę dramatu. Nie wiedziałabym, co robić w tej roli. — Krótko, nerwowo parsknęła śmiechem. — Teraz to, co ja mam do załatwienia. Przem, nie gniewaj się na mnie, ale... ale wiesz... ja tego nie mogę przyjąć. — Wyciągnęła w jego kierunku zawinięty w pognieciony już papier witrażyk przedstawiający ptaka. — Gdyby to był kot, kocica, nawet stado kotów — zrozumiałabym, że chcesz wrócić. Gdyby to były kwiatki, odczytałabym jako kurtuazyjne przeprosiny. Ale ptak? Może jeszcze kos, co? Tego nie rozumiem. To nie dla mnie prezent. Powinien trafić w inne ręce. Nie gniewaj się, ale weź go ze sobą.

Wepchnęła mu w ręce szeleszczące zawiniątko. Przemaal wziął je, a przy okazji schował w swoje dłonie dłoń Teresy.

Znał to ciepło. Pamiętał. Trzydzieści sześć i sześć. Kiedyś to ciepło było jego.

Teresa zabrała ręce, skrzyżowała na piersiach i naprawdę szczerze się do niego uśmiechnęła.

*

Pani w kwiaciarni z kwaśną miną wymieniła mu witrażyk na paproć — rogi łosie.

Mama bardzo się z niej ucieszyła. Postawiła na honorowym miejscu na parapecie koło portrecików Przemka i Goški.

Przemaal wziął aparat i poszedł nad Nasze.

Łódka, jeszcze mieniąca się drobinkami deszczu, drażniła się z jeziorem. Co i raz fala głucho uderzała o jej obszarpane deski. Ale łódź i tak nie dawała się ruszyć z miejsca. Ciągle była.

W środku, na burcie od strony brzegu siedziała Goška.

Była smutna.

W pierwszej chwili Przemaal pomyślał, że jest tak samo szara jak jezioro. Wiedział, że Wit wyjechał — na pięć dni ze swoją starą szkołą. Siostra nic nie mówiła, ale na pewno bała się, że teraz, gdy zmienił szkołę, będzie sto razy bardziej interesujący dla dawnych koleżanek. Teraz, gdy stał się człowiekiem z zewnątrz, zobaczą w nim to, czego nie widziały, gdy dzień po dniu dukał bzdury pod tablicą lub gdy błyszczał inteligencją na sprawdzianach. Bała się, że teraz go zobaczą.

„Współczesna czarownica — przyszło Przemaalowi do głowy. — Symboliczna szamanka”.

Goška cały czas obracała w dwóch palcach maciupunki wisiorek. Od niego. Nie mówiła od kogo, ale nosiła go codziennie, więc wiadomo, że od Wita. Macała go, pocierała, sprawdzała czy istnieje, jakby chciała, żeby cały czas był ciepły, żeby się przez nieuważę nie wyziębił. Z trójką z chemii na koniec roku, z rozgrzanym wisiorkiem na szyi chyba pierwszy raz cierpiała, pierwszy raz czuła się po dorosłemu. Patrzyła na Nasze. Usiłowała wzrokiem rozpruć wodę i zajrzeć w przyszłość.

Płyną fale przed siebie

I znikają w oddali

Nie pytajcie się fali

O to, czego nikt nie wie.*

Przemaal podszedł do siostry i położył jej dłoń na ramieniu. Poklepała go po niej.

Wstała.

Podał jej rękę, a ona wyszła z łódki. Zrobił jej kilka zdjęć, a ona udawała, że nie pozuje.

Po chwili od strony stromej ścieżki podeszła młoda nauczycielka z chmarą wrzeszczanych dzieciaków.

* Jacek Kaczmarski, *Księżniczka i Pirat*

— Kto nam przypomni co to jest legenda? Nikt nie pamięta? Bartuś, przestań to robić, ja wszystko widzę. Więc legenda... tak? Kto dokończy? Sandra, proszę... Tak, to taka opowieść o jakimś miejscu... Maciusiu, podejdź tu do mnie. Dlaczego ty nie możesz stać spokojnie? O każdym miejscu może powstać legenda.

— A o tym? — Szcherbaty grubas zatupał w miejscu nóżkami.

— O tym też — z przekonaniem powiedziała nauczycielka. — Zaraz wymyślimy wspólnie jakąś legendę. Marzenko, nie ocieraj o rękawek, weź chusteczkę. Podejdź, dam ci. Posłuchajcie... Nad jeziorem Naszym żył sobie dawno, dawno temu rybak. Miał wspinał łódź, na której zawsze łowił dużo ryb. Podarował mu ją jego ojciec, gdy był jeszcze młodym chłopcem... ten rybak, nie ojciec, oczywiście. Rybak sobie łowił i łowił, aż któregoś dnia morski diabeł, co mieszkał w Naszym, pomyślał, że to nie może tak być, żeby... Kasia, rozumiem, nie jest zainteresowana... Więc diabeł pomyślał sobie tak: „Dam ja mu nauczkę”. I wywołał burzę na jeziorze. Jednak rybak znał dobrze łódkę i jezioro, i żadna burza nie była mu straszna, więc cały i zdrowy wrócił do domu. Zdenerwował się diabeł, że mu się podstęp nie udał i szybko wykonał nową łódkę. Puścił ją na środek jeziora. Z brzegu ta nowa łódka wydawała się rybakowi większa, piękniejsza i bardziej zwrotna od starej, ale na środku żadnej łodzi nie było, tylko wielka kłoda drzewa pływała tam, gdzie rybak widział tę niby-łódkę. Więc rybak zawrócił i wplaw... Wplaw? To znaczy, Damianku, wodą płynął. Nie wiem czy żabką, może i żabką. Nie, na plecach ten rybak na pewno nie płynął.

Przemal musiał sobie zakryć usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

— Was to, widzę, wcale nie interesuje. Rybak chciał wrócić do brzegu i odszukać swoją starą łódź, ale już nie umiał. I tak od stu lat rybak błąka się wplaw po jeziorze, a stara dobra łódź leży na brzegu jeziora Naszego i przypomina każdemu... No właśnie, dzieci, kto mi powie, o czym ta łódka ma nam przypominać? Nie, Jasieńku, to nie ma być mores, tylko morał. Przypomina nam o tym, żeby... No, Damian, teraz to przesadziłeś! Natychmiast przeproś Marcelinkę! Wracamy! Chcę za chwilę zobaczyć ładne pary!

— O czym ci ta łódka przypomina? — Gosia spojrzała na brata.

— Sam nie wiem. Tu wszystko mi coś przypomina, tak jak tobie. Nawet ty jakby troszkę przypominasz moją siostrę. Znasz ją? Taka niewydarzona, przypomina Zmutowanego Zwierzaka z takimi...

Nagle załamał mu się głos. Nie mógł już dalej mówić.

— Są kłopoty? — zapytała takim głosem, że Przemal aż spojrzał, czy to na pewno ona. — Chcesz pogadać?

— Nie, ale przejdź się ze mną.

— A Teresa?

- Właśnie o tym nie chcę gadać.
— W porządku.
— No właśnie nie w porządku. W tym sęk.

*

Wit zadzwonił na „Faktach”, ale ojciec to przełknął. Mała szybko wyszła do siebie i dokładnie zamknęła drzwi, żeby najmniejszy fragmencik jej świata nie dotarł do obcych uszu. Potem rozanielona, podśpiewując na wesoło smutną piosenkę, włączyła komputer.

Przemaal odruchowo zerknął, co robi.

„Ej, jest ktoś gotowy do pogadania?” — zobaczył opis siostry.

— Nie rób tego.

Wziął siostrę za rękę, a potem myszką najechał na „Zakończ”.

— Co cię ugryzło?

— Możesz siedzieć, dlaczego nie? Możesz. Jeśli chcesz wszystko stracić, jeśli zależy ci na tym, żeby twoje życie straciło jakikolwiek sens, jeśli marzysz o tym, żeby być Pandorą dla siebie samej, jeśli kusi cię wizja zmarnowania szansy, którą dostałaś, jeżeli myślisz o tym, jakby tu skutecznie sobie samej zrobić krzywdę — siedź. Będziesz miała to wszystko od razu.

— O rany, jaka mowa! — zaczęła, ale zaraz mieniła ton. — Przesadzasz. To tylko głupia rozmowa, nic takiego.

— Nie masz racji. Kocham cię, Gośka, i chociaż w myślach porównuję cię czasem do miski, chcę dla ciebie jak najlepiej.

— Co ty bredzisz, Zmutowany Zwierzaku?

— Nic.

Spojrzała na brata i odeszła od klawiatury. Wzięła torebkę z fistaszkami i nasypała ich do miski od Wita, a potem długo z nią krążyła po kuchni.

— Gdzie, do ciężkiej cholery, jest moja podstawka? — wydarła się nagle głosem, który wszyscy w domu dobrze pamiętali.

— A gdzie, do ciężkiej, jest moja? — tym samym tonem odkrzyknął jej Przemek i nagle poczuł się całkiem sam na świecie.

Coś słonego zaszczypało go w powieki. Przez łzy zobaczył, że jego kos znów kręci się koło budki. Wyrzuca resztki po wychowanych dzieciakach i znosi nową trawę.

— Bezczelny — warknął Przemaal. — Normalnie drażni się ze mną.

*

Miał jechać do Przemyśla. „Daleko, więc się zmęczę, umorduję i może nie będę musiał myśleć”.

Bez przekonania wyjął mleko z lodówki i nalał sobie pełną szklanekę. Zerwał kolejną kartkę z kuchennego kalendarza i odczytał motto na dziś:

Są dwa skuteczne sposoby, żeby się odkochać, tylko nikt nie wie jakie.

Kinga... Kinga... Właściwie to chciałby już o niej przestać myśleć. Tylko jak?

„Dobre sobie! Drażnią się tylko z ludźmi” — z niechęcią spojrzął na od lat kupowany przez rodziców kalendarz.

Ściągnął pocztę.

Wiesz, Przemal, przeczytałam wszystko „nasze”, obejrzałam zdjęcia i doszłam do dwóch zaskakujących dla samej siebie wniosków: Po pierwsze — nie wszystko wie się od razu, a po drugie — aparycja nie ma jakiegoś zasadniczego znaczenia. Nie sądzisz?

Przemal szybko nabazgrał na kartce, że jedzie i że wróci. Niech się nie martwią. Niech już nikt się nigdy o nic nie martwi!

Złapał plecak przygotowany na Przemysł i klusem puścił się na dworzec.

Z pociągu puścił esemesa, że jedzie, że dojeżdża, że będzie. Nie było odpowiedzi, ale nie zwrócił na to uwagi. Denerwowało go, że ten pociąg tak ślamazarnie się toczy. Chwilami chciałby wyskoczyć, złapać cały skład pod pachę i biec, bo był pewien, że byłby szybciej. W końcu jakoś się dotoczyli.

Wysiadł.

Pod arkadami, w cieniu, stała Kinga. Była w sukience, a na ramieniu miała torebkę.